

PENSIJONAT BABCI ANNY

Babcia Anna lubiła wspominać swój pensjonat przy uroczystych okazjach. Przypominały się jej najlepsze lata. Czuliła się wtedy prawdziwą panią i odzyskiwała swą młodość. Jej pensjonat to było zaledwie osiem pokojków dwu- i trzyosobowych, w tym dwa z nich gorszej kategorii, bo znajdowały się na poddaszu, ale babcia była z niego bardzo dumna.

Już w maju dom ożywał, bo był to pensjonat letni. Malowano pokoje, odświeżano podłogi farbą olejną, naprawiano skrzypiące schody, uzupełniano wybite przez wiatr szyby. Ta ostatnia usługa była specjalnością szklarza Józefa Pazura. Dom po prostu zaczynał tętnić życiem, budząc się z zimowego snu.

A i z zewnątrz czyniono mu odpowiednią kosmetykę. Malowano deski, wymieniano niepewne dachówki i sprawdzano wytrzymałość balkonów. Z tym ostatnim zajęciem związany był cały rytuał i ceremoniał. Babcia zapraszała któregoś majowego dnia kilku wpływowych obywateli miejscowych i częstowała ich wódeczką i dobrą zakąską. Sama też trochę piła. A nalewki babci Anny były nadzwyczajne i smakowo, i procentowo, bo robiła je na spirytusie tak, że żaden z panów nie potrafił sobie odmówić tego zaproszenia i zjawiali się wszyscy w pełnym komplecie.

Gdy już sobie sporo podpili i podjedli, babcia, dla przewietrzenia i rozproszenia gości oprowadzała ich po swym pensjonacie. Sapali z wysiłku, lecz szli od pokoju do pokoju. Za każdym razem wychodzili na balkon, a ponieważ wszyscy, z wyjątkiem organisty, byli słusznej tuszy, więc sprawdzian na wytrzymałość drewnianych balkonów był odpowiedni. Babcia proponowała im piękne widoki, lecz oni tylko przez grzeczność podziwiali okolice, bo dobrze ją znali i nie widzieli w niej już nic pięknego. Sama babcia natomiast spoglądała z uwagą na każdy balkon, wsłuchując się jednocześnie, czy przypadkiem nie trzeszczy. Za każdym razem jako pierwsza wchodziła na pokłady swego pensjonatu, niczym kapitan statku, choć cierpiała poważnie na lęk wysokości.

Po tym obchodzie całe towarzystwo powracało z jeszcze większą ochotą do przerwanej uczty. Oprócz sprawdzenia wytrzymałości balkonów, babcia Anna załatwiała jeszcze inne interesy z przybyłymi gośćmi. Sklepiarz Zdunek zapewniał ją, że zawsze na niego może liczyć i kredyt ma otwarty na cały sezon. Zawiadomca stacji, Jan Kapelański, twierdził, że każdego letnika, który szukałby pokoju do wynajęcia, skieruje do pani Anny, bo on właśnie jako pierwszy miał kontakt z wczasowiczami i do niego często zwracali się na stacji z podobnymi pytaniami. Natomiast ślusarz Żabka obiecywał, że w każdej chwili, gdy tylko zajdzie potrzeba, to znaczy gdyby - co nie daj Boże -jakiś letnik zgubił klucz od pokoju, lub zatrzasnął się w ustępie, on natychmiast przyśle chłopaka z warsztatu, który wszystko dorobi na miejscu.

Ostatnim akordem przygotowania do sezonu było odnowienie nazwy pensjonatu. Mistrz malarstwa pokojowego ciągnął z namaszczeniem pędzlem, litera po

literze, zieloną farbą: „JÓZEFA”. Oddawała ona hołd jego budowniczemu, fundatorowi i projektantowi, dziadkowi Józefowi, który pracowitość odziedziczył po swoim patronie. I choć niektórzy miejscowi esteci językowi proponowali, aby babcia zmieniła nazwę pensjonatu na bardziej atrakcyjną, jak choćby „Marzenie”, „Mimoza”, czy nawet „Jutrzenka”, babcia z oburzeniem przyjmowała te propozycje, nie dopuszczając nawet myśli o zmianie. Zawsze twierdziła, że dokąd ona żyje, „Józefa” będzie „Józefą”.

Tak więc już od pierwszego czerwca pensjonat babci Anny czekał odrestaurowany na letników. Kuchnię kierowała Antosia. Lubiła wypić czasem parę kieliszków wódki, bo jak twierdziła to zaostrzało jej smak. Trzeba przyznać, że gotowała znakomicie i bardzo czysto było zawsze w kuchni. Wszyscy więc ją chwalili. W czerwcu babcia mogła liczyć jedynie na wynajęcie dwóch pokoi, bo był to dopiero początek sezonu. Od dwóch małżeństw bezdzietnych otrzymała propozycje listowne i zadatki przesłane pocztą, i te dwie pary się zjawiały. Pozostałe pokoje były przeważnie wolne, dlatego gdy przyjeżdżał pociąg, babcia znacznie się ożywiła i przerywała pasjansa. Czytała po raz setny swe ogłoszenie wycięte z gazety: „Pensjonat „Józefa” przyjmie letników. Zapewnia się smaczne, tanie całodzienne wyżywienie” — i zastanawiała się czy dobrze je zredagowała.

Ale gdy przychodził lipiec, nie miała już czasu, żeby o tym myśleć. Zaczynała się pełnia sezonu. Babcia była szczęśliwa, gdy jej pensjonat wypełniał się letnikami, aż po te pokoiiki na poddaszu. Wtedy była w swoim żywiole. O nic tak jej nie chodziło, jak tylko o to, żeby udowodnić w miasteczku, iż „Józefa” ma komplet gości, mimo, że kieruje nią sama kobieta, wdowa po świętej pamięci Józefie.



„Józefa” — pensjonat babci Anny

Czasem, gdy babcia była w dobrym humorze, opowiadała też o letnikach. Szczyciła się tym, że mieszkał u niej pisarz, który tu nawet tworzył swą książkę. Babcia żałowała, że nie zapamiętała jego nazwiska, ale to zawsze było jej słabą stroną. Twierdziła, że dlatego, iż zbyt wiele osób przewinęło się przez jej pensjonat. Pisarz ofiarował babci swą książkę z dedykacją, lecz w zawierusze wojennej gdzieś zaginęła. Podzieliła los książki pamiątkowej pensjonatu „Józefa”, która zawierała wpisy prawie wszystkich letników korzystających z gościny babci. A jacy niektórzy byli dowcipni. Co zdolniejsi rysowali karykatury i wpisywali fraszki. Jedną z nich — ponieważ nie chodziło o nazwisko — udało się babci zapamiętać:

W „Józefie” wypoczniesz,
jak nigdzie na świecie,
gdy przyjedziesz smutny,
to wrócisz z uśmiechem!

Nie grzeszyła ta fraszka oryginalnością, ani dowcipem, ale babci się podobała. Jeden z letników narysował „Józefę”. Babcia nie mogła wyjść z podziwu, że taki zdolny. Chciała nawet tę pracę oprawić u szklarza, Józefa Pazura, lecz nie zdążyła.

Był też jeden letnik, który szczególnie utkwiał babci w pamięci, tak że nawet знаła jego nazwisko. Nazywał się Jan Karol Szumski i był zwariowanym inżynierem. Przyjechał sam i wybrał sobie pokój na poddaszu. Był zapalonym turystą. Wędrował po okolicy całymi dniami, a wieczorem przychodził do babci na herbatę i opowiadał o wrażeniach ze swoich wypraw. A mówił pięknie i tak ciekawie, że babcia była nim zachwycona i słuchała go do późnych godzin nocnych. Mieszkała tyle lat w tym miasteczku, a dopiero on odkrył jej jego uroki i tajemnice. Pod wpływem tych opowiadań obiecywała sobie, że po sezonie wybierze się koniecznie w miejsca, które szczególnie jej zachwalał.

Któregoś dnia jednak Szumski nie przyszedł. Babcia zaniepokojona poszła do jego pokoiku, ale ten był zamknięty. Nie mogła spać tej nocy, co jakiś czas wychodziła ze swego mieszkania i patrzyła w górę, czy u niego się świeci. Rano też nie wrócił. Podczas obiadu zapytała letników, czy nie widzieli Jana Karola Szumskiego. Okazało się, że większość nie wiedziała o kogo chodzi. Inni znali go z letniskowego widzenia, lecz nie mogli też nic powiedzieć. Koło kolacji babcia wystraszona nie na żarty o pana Jana kręciła się niespokojnie. Znowu nie spała całą noc i obiecała sobie, że jutro pójdzie na posterunek policji i zgłosi zaginięcie inżyniera.

Jednak koło południa wrócił Jan Karol Szumski. Na twarzy tlił się przeprasający uśmiech i dwudniowy zarost. Babcia zrobiła mu spore wymówki i wspominała, że właśnie wybierała się na policję. Wtedy on opowiedział jej całą swą przygodę. O tym jak zabłądził i jak trafił do wioski, która okazała się wioską słowacką. Tam go ugościli i przenocowali, obeszło się bez interwencji władz granicznych. Z powrotem też przekroczył nielegalnie granicę i dlatego tak późno wrócił. Babcia już udobruchana, z radością wyjęła jedną ze swych nalewek i wypili po parę kieliszków.

Okazało się, że Jan Karol Szumski został wiernym gościem pensjonatu babci Anny. W swoim pokoju na poddaszu mieszkał jeszcze w październiku, kiedy to

o innych letnikach słuch już zaginał. Dopiero siostra przyjechała po niego w listopadzie i zabrała go prawie siłą do miasta. Ale nie na długo, bo wracał wciąż do pensjonatu babci Anny. Później — jak sama babcia dyskretnie dawała do zrozumienia — nie chodziło mu już tylko o tutejsze atrakcje turystyczne.

Taki był pensjonat babci Anny i tacy jej goście. Żyła wtedy szczęśliwie. A potem przyszli Niemcy i świat się zawałił. Wszystko się skończyło.

Adam Ziemianin

MUSZYNA - BLUES

Dzień już krótszy o krok burmistrza
Głupi Gienek z lipą znowu gada
Nad rzeką stoi miejscowy Heraklit
Ziemia nosi jeszcze sąsiada

Panna z dzieckiem szuka ojca w lesie
Tu w miasteczku wszyscy się znamy
Sąsiad dostał list aż z Ameryki
A piekarz jest znowu pijany

Czasem koń Wielki Wóz przeciągnie po niebie
Czasem pies poskarży się do księżyca
Czasem góra pochyli się nad tobą
Czasem wiatr na trawie zagra bluesa

Przez miasteczko nie da się na skróty
Przez miasteczko trzeba przejść Rynkiem
Tu cię zaraz wezmą na języki
Bo tu każdy jest coś komuś winien

Dzień krótszy o dwa kroki burmistrza
I jesień z gór schodzi po leszczynach
Powoli zapada w sen zimowy
Razem ze swym bluesem — Muszyna

Adam Ziemianin